

Czeladnik kowalski

Od małego garnął się Józus do kowalstwa. Mając kilka lat, bez zachęty chwycił za mały młoteczek i w izbie, na „babce” wbitej w pień, „kujtał” drobne detale z metalowych odpadów. Jakies haczyki, skobelki, drobne zasuwki. Szybko zorientował się, że najlepiej to „robią mu się” hufnale do przybijania podków.

– Pamiętaj, że łebki muszą być sklepane na płasko, a końce ostre, bo inaczej podkova nie będzie trzymać na kopycie – tłumaczył Jędrzej swojemu małemu pomocnikowi, z radością obserwując, jak ten przy robocie pomaga sobie językiem.

Nauki i praktyka nie poszły na marne. Gdy Józek podrośł, szczególnie upodobał sobie właśnie kucie koni.

– Do tego trzeba czucia i nie każdy dobrze to robi – mawiali starzy furmani, kurząc przed kuźnią papierosy i przyglądając się, jak młody kowalczyk krząta się koło ich koni.

Prawdą było, że w razie potrzeby praktycznie każdy z nich sam potrafił podkuć, ale byli i tacy, którzy zawsze przyjeżdżali do zaufanego kowala.

Tak było dosyć często, bo gubienie podków w terenie pagórkowatym i miejscami kamienistym było prawdziwą plagą, a i przypadki zagwożdżenia kopyt niestety się zdarzały. Pół biedy jak poza sezonem robót polowych, ale jeśli w trakcie – było to prawdziwe nieszczęście dla gospodarza.

– Przyjrzyj się dobrze Józus i zauważ – spokojnie tłumaczył Jędrzej – że każde kopyto jest inne. Koń ma przecież nogi przednie i tylne, prawe i lewe. Przed okuciem musisz kopyto dokładnie wyczyścić, raszplą zeszlifować, a w razie potrzeby podkowę przed przybiciem dogiąć i dokładnie dopasować, bo inaczej zaraz ci ją koń zgubi. Gospodarze bardzo na to uważają, a i czasu nie mają, aby często do kowala przyjeżdżać.

Uczeń szybko pojął, w czym rzecz. Po pewnym czasie zauważył też różnice w kopytach wynikające z budowy, rasy, czy nawet sposobu chodzenia konia. Nauczył się też dostrzegać i rozróżniać wady i choroby kopyt. Bez tłumaczenia zorientował się, że inaczej chodziły i zdierały podkowy klacze, inaczej spracowane wałachy, a jeszcze inaczej ogiery. Te nagminnie gubiły tylne podkowy.

Najłatwiej podkuwało mu się ciężkie zimnokrwiste perszerony o grubych i wielkich jak łopata kopytach. Dla takich wykuwano specjalne, bardzo mocne podkowy.

Józef od małego nabierał obycia z końmi i ludźmi. Dziwili się nieraz furmani, że nie bał się przechodzić pod brzuchem obcego konia i śmiało pomagał przy podkuwaniu. Z czasem sam potrafił wyprzęgać zwierzę, czyścić, a nawet opatrywać kopyta.

– Dobry podkuwacz musi widzieć najdrobniejsze nawet pęknięcia kopyta czy skaleczenia nogi – podpowiadał mu Jędrzej. – W takich razach musisz zasmaować ranę maścią i powiedzieć o tym gospodarzowi, bo to czasem trudno zauważyć. Dopiero przy wyczyszczeniu kopyta widać, czy tam pod nim coś złego się nie dzieje.

Słuchał i stosował się Józef do wskazówek „dziadka” Jędrzeja. Szybko okazało się, że jak mało który kowal prawdziwie „czuje” konie, a i one darzą go zaufaniem. Nie zdarzyło się, aby go któryś kopnął lub ugryzł.

Za to do ciężkich robót kowalskich Józef nie miał serca. Nie lubił wykuwać okuć bramnych, krat, osi do wozów, antab, lemiesz czy bron.

– Ee, Józek to ino z koniami – mawiano. – Z podkowami robota lekko, co chwila inno.

Praca podkuwacza może nie była taka ciężka jak inne roboty kowalskie, wymagała jednak wrażliwości, odpowiedzialności, czucia, a wręcz delikatności w obyciu ze zwierzęciem. Było to bardzo istotne, zwłaszcza przy leczeniu urazów. Nieostrożne zachowanie mogło się w takich przypadkach skończyć nieszczęściem.

– Wiesz co, mamó – zwierzył się pewnego razu Julce – konie to takie dobre i rozumne zwierzęta. Jakże one potrafią na człowieka patrzeć. Jak je co boli, to oczami proszą o pomoc, a jak wesołe, to isierki im się świecą, a i nawet śmiać się potrafią, pokazując zęby.

– To bądź dla nich dobry, synku – cieszyła się, przygarniając jego ciemną, lekko rozczochraną czuprynę do swojej piersi.

Gdy Józef skończył szesnaście lat, Jędrzej zgłosił go do cechu, aby formalnie mógł podjąć starania o uzyskanie uprawnień czeladniczych. Wiele lat praktyki u jednego z bardziej znanych i szanowanych majstrów kowalskich w Sułkowicach, a i wstawiennictwo jeszcze dwóch innych sprawiło, że uprawnienia takie wkrótce uzyskał.

Odetchnął z ulgą stary Jędrzej, bo oto miał świadomość, że pod dachem jego domu, pod jego okiem i w jego kuźni – kuźni może małej, ale rodzinnej – wyrósł młody, dobrze zapowiadający się kowal-podkuwacz.

– Zastąpisz mnie tu Józku – powiedział kiedyś. – Jak kolej do Sułkowic doprowadzą, to roboty dla nikogo nie zabraknie.

– Ee, gdzie jo bym was zastępowoł. To wasza kuźnia – skromnie odparł młody czeladnik.

– Zastąpisz, zastąpisz. Jo już stary, siły coraz mniej, trzeba mi będzie niedługo hań – westchnął stary kowal, wskazując ręką w kierunku cmentarza.

Przewidywania Jędrzeja, niestety, sprawdziły się dość szybko. Nie minął rok, jak jego trumna trzykrotnie stuknęła o progi

rodzinnego domu, a kondukt pogrzebowy odprowadził go na wieczny odpoczynek.

Wybuch wojny przekreślił plany doprowadzenia kolei do Sułkowic, a w drugim jej roku młodziutkiego jeszcze Józefa powołano do wojska. Dostał przydział do taborów dywizyjnych, do kuźni polowej. Działając na głębokich tyłach, na front na szczęście nie trafił.

Gdy wojna się skończyła, ku wielkiej uciechu Julki, jej syn Józef cały i zdrowy powrócił do Sułkowic.

Zapowiadały się dobre lata dla czeladnika kowalskiego.

– Trzeba by ci ten depozyt z banku wyjąć albo coś z nim zrobić – powiedziała pewnego dnia Julka, wyjmując zza obrazu i kładąc na stole pozółkły papier.

– To spadek po twoim ojcu, Józuś – wtrąciła się Karola. – Jak byłeś malutki, to przywieźli tu ten papier. Dowiedz się, co i jak, i zdecydujcie z matką, co robić. Szkoda, żeby twoje pieniądze leżały w banku bezużyteczne.

– Poprawimy kuźnię, kupie nowe narzędzia i miech, bo te co są to już mocno zużyte. Pojadę do Krakowa i wszystkiego się dowiem – ucieszył się Józef.

Julka z Karolą uśmiechnęły się, widząc jego zapał i chęć do działania.

Zwlekał jakiś czas Józef z wyjazdem, ale wreszcie pojechał. Wieczorem wrócił niesłychanie przygnębiony.

– Nie ma już filii Reifeisenbanku w Krakowie. Byłem u rejenta, który pisał ten testament, on ma swoją kancelarię koło Kleparza. Powiedzieli mi tam, żebym pisał do Wiednia, gdzie jest centrala tego banku. Nawet mi adres dali.

Józef umilkł, a obydwie kobiety przez dłuższą chwilę patrzyły na niego z troską. Pierwsza odezwała się Karola:

– I co zrobisz Józuś? Tam mosz ponoć zapisane sto koron w złocie.

– A przecie i procenty powinni jakiesik doliczyć. Tyle lot piniądze leżały nietknięte – dodała mocno zaniepokojona Julka.

Po kilku dniach namysłu Józef udał się do sułkowickiego wójta, znanego ze swojej obrotności i znajomości przepisów. Niejednemu pomógł napisać a to skargę, a to podanie do urzędu. Powiadali o nim, że przed laty osobiście składał skargę do samego cesarza. Franciszek Józef ponoć go wysłuchał i nie tylko że rozpatrzył ją pozytywnie, ale co więcej – nakazał kancelarii zwrócić wójtowi koszt przyjazdu do Wiednia.

– Noo, nie było to jak za Franciska – z pewną nostalgią w głosie rozpoczął były wójt rozmowę z Józefem. – Tak czy siak, pismo do Wiednia napisać trza. Jo ci pomoge, ale nie daje wiary, czy to coś pomoże. Wojna się skończyła, Austrii już u nos nima, a piniądze? Oby ci cokolwiek dali... Próbować zawsze trzeba.

I napisał sułkowicki wójt pismo do centrali austriackiego banku. Józef go podpisał i wysłał. Po pół roku nadeszła urzędowa odpowiedź, z której wynikało, że wszelkie depozyty złożone w banku i jego filiach z powodu wojny uległy dewaluacji i całkowitej konfiskacie.

Niezależnie od tego stwierdzono również, że mieszkańcy byłych terenów, dominiów i prowincji cesarstwa austro-węgierskiego utracili jego obywatelstwo. Stało się tak na skutek traktatów międzynarodowych i rozstrzygnięć powojennych, co spowodowało, że wszelkie roszczenia wobec instytucji nie istniejącego już państwa stały się bezzasadne. Sprawę uznano za ostatecznie zamkniętą.

– Widzis chłopce – potrząsając pismem, z nieukrywanym współczuciem skomentował rozstrzygnięcie sprawy wójt – gdyby za te twoje piniądze gorzołki kupił, a teraz flaski sprzedał, tobyś miał więcy korzyści.

Rozplakała się Julka na wieść o przepadku lokaty po jej Jasiu.

– Nawet ci te parę groszy po ojcu zabrali, mój ty biedoku, moja ty sieroto jedyna – zanosila się łzami.

– Nic się mam nie martw. Jak se wzieni, to niech se trzymają. Momy gdzie mieszkać, jo mom robote, a kuźnie to jakosik pomału doposaże. Będzie dobrze, zobaczysz – odpowiedział Józef, jak zawsze z optymizmem w głosie.

– Nie bec Julka, nie bec. Józuś mo racje – podsumowała Karola, cały czas bacznie obserwująca przebieg zdarzeń.

Faktycznie, nie czekał Józef na mannę z nieba. Przy wsparciu chrzestnego i jego synów poprawił dach i podjazd przed kuźnią, a na kredyt zakupił w Wadowicach kowadło i komplet nowych narzędzi. Szybko okazało się, że zajęcia mu nie brakuje, zwłaszcza przy podkrywaniu i leczeniu kontuzji końskich nóg i kopyt. Zajeżdżali do niego furmani z bliższych i dalszych okolic. Jednym z nich był Ludwik Sikora, „gruby” gospodarz z Głogoczowa. Znany z troski o swoje konie, wypytywał Józefa, skąd u niego takie zamiłowanie i spore doświadczenie w fachu. Młody kowal nie ukrywał niczego.

– Jo w wojsku pomógł felczerowi weterynaryjnemu. On zajmował się i leczył pułkowe konie od kolki, zapalenie, ochwatów, a mnie porucił opiekę nad nogami i kopytami. To był Czech, od Ołomuńca, dobry i znający się na rzeczy człowiek.

* * *

Nie za długo dane było gospodarować Józefowi w przyobiecej mu przez Jędrzeja kuźni. Zakończenie wojny, z której powrócił cało i szczęśliwie, niestety nie oznaczało pokoju.

– Nasi biją się wszędzie – coraz częściej powtarzali niepokojące wieści przyjeżdżający pod kuźnię gospodarze. – Koło Lwowa, na Śląsku, a ostatnio podobno Kijów zdobyli.

– Kijów? A gdzie to jest? – dopytywali się mniej obeznani.

Wszyscy wyczuwali nadchodzące zagrożenie.

– Trzeba by kupić worek soli i bańkę nafty – zdecydowała Karola. – Jak bieda przydzie, to nie będzie nawet czym zimnioków posolić.

Nie upłynęło dużo czasu, a przewidywania się sprawdziły. Wojna z bolszewikami rozgorzała w pełni. „Wszyscy do broni” – wołały rozwieszane tu i tam plakaty, a sołtysi roznosili karty powołań tym, którzy spełniali warunki poborowe. Dostał ją również Józef.

– W wojsku byłeś? – oficer rekrutacyjny spojrzał na powołanego.

– Byłem na wojnie, ponad dwa lata. Służyłem w taborach, przy koniach.

– Pójdiesz do kawalerii. Będiesz tam kowalem w kuźni polowej albo podkuwaczem szwadronu. Następny!

Na odejście Józef otrzymał jeszcze polecenie, aby za dwa dni, z otrzymaną kartą przydziału, zameldować się w krakowskiej Cytadeli na Montelupich.

Julka, podobnie jak inne matki, wiedziała i przeczuwała, że ta wojna będzie dla jej syna naprawdę groźna.

– Ułani to najlepsze wojaki. Byle kogo tam nie asenterują – z nieukrywaną dumą, ale i troską w głosie skomentował sąsiad Józef wieść, że jego chrześniaka przydzielono do kawalerii.

– Oni ciągle w polu i ciągle w ataku. A na wojnie jak to na wojnie, nie ma: „Panie Boże zmiłuj”.

Józef po uzyskaniu wiadomości, że będzie się musiał stawić, nie zastanawiał się ani chwili.

– Mamo, idę na wojnę. Ogłosili powszechną mobilizację i teraz będę służył w polskim wojsku. Zresztą nie tylko ja. Powołują wszystkich zdolnych do służby.

Rozpacz Julki nie miała granic. Znając z ustnych przekazów ogrom nieszczęść, jakie niesie bolszewicka nawała, oglądając rozwieszone plakaty na których sugestywnie przedstawiano jakieś piekielne bestie wyciągające łapska po Polskę, Julka nie potrafiła inaczej myśleć jak tylko, że jej ukochanego, jedyne go syna czeka niechybna śmierć.

W pierwszym momencie próbowała jakoś tłumaczyć, że może nie trzeba zgłaszać się tak od razu, że wystarczy może trochę później, ale Józef tylko się obruszył i stanowczo zaprotestował:

– No mamo, tak nie można. Rozkaz to rozkaz, a ja nie będę dezterterem. Wszyscy ze Sułkowic idą jak jeden i nikomu do głowy nie przychodzi, żeby się jakoś migać.

Zgodnie z odwieczną tradycją proboszcz zapowiedział, że odprawiona zostanie msza święta w intencji wyruszających na wojnę – o szczęśliwy powrót do domu. Kościół był wypełniony do ostatniego miejsca. Wszyscy mieli świadomość – wyniesioną z dopiero co zakończonej wojny – że wielu mężczyzn nie wróci, że zginie gdzieś z dala od domu, że wielu z nich zostanie okaleczonych fizycznie i psychicznie. Pełen bólu i przerażenia szloch kobiet nappełniał świątynię, bo powołanych pod broń było w samych Sułkowicach i okolicy sporo.

Julka z Karolą przez prawie pół dnia modliły się w intencji Józefa. Pod koniec Julka nie mogła już płakać, zabrakło jej łez. Wieczorem, gdy w kościele mrok rozświeślały tylko pojedyncze świece, podobnie jak przed laty w Kalwarii, na kolanach podsunęła się do ołtarza i na boku jego stopni ostrożnie położyła dziecięcą podkówkę Józusia. Podkówkę tę do tej pory przechowywała za obrazem wiszącym nad jej łóżkiem.

– Matko Boska, pod Twoją opiekę oddaję mojego jedynego syna. Spraw, aby wrócił do mnie po tej wojnie. O to jedno Cię proszę.

Nie pamiętała, jak i kiedy znalazła się w domu.

* * *

Bezpośrednio po porannej mszy dwie grupy mężczyzn wyszły z Sułkowic. Jedna skierowała się do Wadowic, a druga na Kraków. Józef, zgodnie z otrzymanym poleceniem, dołączył do grupy udającej się do Krakowa.

Już na rogatkach miasta zostali poinformowani, jaką drogą dostać się do Cytadeli na Montelupich, gdzie mieli być przyjęci i posegregowani, a po zaopatrzeniu przydzieleni do konkretnych oddziałów. Koło południa Józef z Sułkowic zameldował się na miejscu zbiórki.

– Tworzony jest oddział kawalerii. Po jego sformowaniu, natychmiast, jak to będzie tylko możliwe, zostaniecie skierowani na front.

Pierwszą noc, już jako żołnierz, spędził Józef w miejscowych koszarach. Następnego dnia, po wyfasowaniu sortów mundurowych i broni, skierowano go wraz z grupą takich jak on w miejsce, gdzie formowano oddział kawalerii. Jako kowal i kawalerzysta z doświadczeniem wojennym został przydzielony do szwadronu karabinów maszynowych. Objął tam funkcję opiekuna kuźni polowej i podkuwacza.